

## Jan Duniewicz - Wspomnienia

*Moje tu opisane szczegóły pochodzą z opowieści mych Rodziców w Polsce, w czasach stalinizmu, wobec tego niebezpieczeństwa, opowiadali to bardzo cicho, by nikt wokół tego nie słyszał, tak więc mogłem źle zrozumieć pewne konkretne szczegóły... Najbardziej dla mnie ważne są ludzkie przeżycia, doświadczenia. I tu bardzo dziękuję mej ukochanej Joleczce i Jurkowi za ewentualne poprawki, dodatki...*

### **Z Ukrainy do Polski i me narodziny - 1944**

Moi rodzice (Irena i Włodzimierz) w polskiej grupie etnicznej Ukrainy, na Podolu, w bliskich sobie miejscowościach;

Ukraina, w czasach stalinizmu, 1932-33 i dalszych, , przechodziła okres Wielkiego Głodu (Holodomor). Tłumy wyголоdzonych osieroconych dzieci i wybidzonych ludzi przemieszczały się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu jakiegokolwiek pracy i jakiegokolwiek jedzenia, by tylko przeżyć. Nieraz wędrowali wiele dni bez skrawka chleba. Moi rodzice byli świadkami jak ludzie wydzierali sobie z rąk rzucony im z ciężarówki bochenek chleba, jak walczyli z sobą o okruchy chleba wymieszane z błotem ulicznej kałuży.

W czasach tych dochodziło nawet do przypadków kanibalizmu.

Mój ojciec pomiędzy domem a pracą widział na ulicach, na drogach, leżące trupy ludzi z wydętymi od puchliny głodowej brzuchami. Drogami szły dzieci, bez celu, bez przystanku czy schronienia, wychudzone, wyголоdnie, zjadały korę i liście drzew, plewy, nawet trociny, a jeśli miały jeszcze jakieś buty, to obgryzały ich podeszwy; nie ostawało im się żadne zwierzę, które dało się złapać po drodze, czy to kot czy pies, dżdżownica czy żaba.

Wielu padało i umierało czy z głodu, czy na dyzenterię spowodowaną zjedzeniem czegoś, co rosło przy drodze. Do dziś ta faza stalinizmu, szczególnie wobec późniejszego nazistowskiego Holokaustu, zanika w nieświadomości rozległego świata.

Gdy Ukraina dostała się w ręce hitlerowców, przy ich przebiegłym wsparciu („*divide et impera*”), nastąpiła stopniowa czystka etniczna na Polakach. Szkoła polska, w której nauczał mój Tatuś, została rozwiązana; w każdej innej szkole, jako „paliak”, był natychmiast nienawistnie odrzucany.

Na szczęście, udało mu się znaleźć prace w firmie Rietman, w roli księgowego, inaczej nie wiadomo, jak mógłby wyżywić naszą rodzinę złożoną z sześciorga osób. Zbiegiem okoliczności firma ta, wprawdzie francuska, nosiła nazwę niemiecką Rietman, a jej dyrektor naczelny, Austriak, miał polskie nazwisko Jaworski (Javorsky).

Hitlerowcy ogłosili, że Polacy zamieszkujący wówczas Ukrainę mogą wrócić na tereny Polski, jeśli mają tam swoje rodziny. Zabrzmiało to dla mych rodziców, jak wezwanie do Ziemi Obiecanej. Wówczas „hitleryzm”, dla nich geograficznie odległy, niewiele znany, nie wydawał się gorszy niż ich obecna przerażająca realność stalinizmu; nie mieli więc nic do stracenia.

W Polsce przebywali dwaj pozostali przy życiu bracia Tatusia. Jeden to Wiktor, profesor Politechniki Łódzkiej, uwięziony przez Niemców z nieznanym nam powodów. Drugi to Mieczysław, mieszkający w miejscowości Dalewice pod Krakowem, w swych sporadycznych listach zachęcający mych rodziców do przyjazdu do Polski.

Teraz gdy na Ukrainie nie pozostawało już nic dla czego warto byłoby zostać, a wręcz przeciwnie wszystko od czego chciałoby się uciec; rodzice nie zastanawiali się długo.

W tymże czasie byłem już w łonie mej Mamusi i przygotowywałem się do wyjścia na ten świat. Moi rodzice jednak (lub może i dlatego) postanowili natychmiast skorzystać z okazji i ruszyć w podróż do Polski. Było nas sześcioro, moi rodzice, babcia Paulina (Babuńcia), stryjek Henryk (apoplektyk po brutalnym pobiciu go przez hitlerowców za wystąpienie w obronie upadłego przez nich Żyda), mój starszy 3-letni brat Tolek i ja jeszcze ciepłutko zwinięty w łonie mojej Mamy. Nie było wiele do zabrania, a więc nie było też wiele do pakowania.

Był **początek** stycznia 1944 roku. Pełnia zimy. Na dworzec kolejowy we **Lwowie** (?) dojechaliśmy ciemną i mroźną nocą. Tłumy Polaków w kufajkach lub okrytych kocami, chuchając w zmarznięte dłonie, siedząc w odrętwieniu lub drepcząc przy swoich tobołkach, oczekiwały już od wielu godzin obiecanego przez Niemców specjalnego pociągu, który miał odtransportować ich do Krakowa, do obiecanej Polski, do ich ojczyzny; wprawdzie okupowanej przez hitlerowców, ale przecież - w naszej ówczesnej wiedzy - raju, a co najmniej bezpiecznego schronienia, wobec doświadczanej tu rzeczywistości stalinizmu.

Po wielu godzinach czekania, ogłoszono wreszcie przez megafony, że na bocznym torze o numerze 13-ście stoi właśnie ten (!) pociąg **specjalny** dla uchodźców polskich. Wszyscy zaczęli w pośpiechu przenosić tam swe rzeczy.

Nam nie szło to dobrze ze starą i chorą babunią Pauliną, ze stryjkiem Henrykiem chorym na padaczkę, z moją Mamusią z małym Wiktoorem na ręku i mną w jej łonie. Bezradnie staliśmy więc na dworcu wypatrując jakiejś pomocy...

Tuż przed nami, na pobliskim nam torze, zatrzymał się z piskiem hamulców niemiecki wojskowy pociąg ciężarowy. Z wagonu stojącego na przeciw mej rodziny wyskoczył żywo oficer w niemieckim mundurze. Gdy zobaczył mego ojca, zatrzymał się, przyjrzał mu się zaskoczony, uśmiechnął się doń, podszedł i wyciągnął rękę na powitanie:

- Guten Tag, Herr Duniewicz – zawołał przyjaźnie – Was machen Sie den hier?

Był to Liepner. Znali się z lokalnej restauracji, gdzie Liepner przychodził na piwo, a gdzie mój Tatuś, gdy szkoła, w której nauczał została zamknięta z powodu wojny, pracował jako buchalter, a w okresach wzmożonej klienteli pomagał barmanowi podawać piwo. Jako jedyny znający języki niemiecki, polski, rosyjski, ukraiński, mój Tatuś pośredniczył tam jako tłumacz pomiędzy okupantami i lokalną ludnością. Liepner korzystał z tego i bardzo sobie to cenił.

Gdy Liepner usłyszał, że zamierzamy **jechać do brata pod Krakowem** i że chcemy przedostać się na peron 13-ty, gdzie stoi już pociąg, który nas tam zabierze, zdziwił się:

- Nach Krakau, sagen Sie?... Es gibt doch kein Zug nach Krakau...

*(Do Krakowa, powiada pan?... Nie ma przecież żadnego pociągu do Krakowa...)*

Widząc zdumioną twarz mego Tatusia, Liepner zastanowił się jeszcze. Nagle zasępił się, przyglądał nam się przez chwilę i powiedział wolno, lecz zdecydowanie:

- Nah ja, ich weiss schon... Nein!... (No tak już wiem... Nie!...) Nie jedźcie tym pociągiem... Ten pociąg nie zawiezie was do Krakowa! W żadnym razie nie wsiadajcie do tego pociągu. Ten pociąg jedzie do Auschwitz... nie do Krakowa.

- Wissen Sie was Auschwitz ist? (Wie pan co to Auschwitz jest?) – zapytał i nie czekając na odpowiedź – Ten pociąg wiezie do obozu pracy... tam was przesortują na tych do pracy a tych..., a tę resztę to..."

Zamilkł, przyglądał się memu ojcu, przeglądał się stojącej za nim gromadce mizeraków z moim Tatusiem o usztywnionej (po operacji kolana) lewej nodze, moją Mamusią z widoczną zaawansowaną ciążą, Babunią z bielmem na oku i stryjkiem Henrykiem o nieprzytomnym spojrzeniu. Wyśmienita gromadka prosto do gazu. *(Nikt z nich nie miał jeszcze pojęcia, co to znaczyło „Auschwitz” i co „obozu pracy”. Dowiedzieli się o tym dopiero długo później w Polsce.)*

- Hoeren Sie mir zu... *(Proszę mnie wysłuchać...)* – powiedział wreszcie pan Liepner zdecydowanym tonem.

- Moj pociąg jedzie do Warszawy i będzie jechał przez Kraków. To jest pociąg wojskowy i nie wolno mi brać cywilnej ludności, ale was wezmę... mam jeden taki wagon, do którego mogę was schować.

Rozejrzał się po tłumie rozprzestrzenionych na peronie innych takich jak my rodzin z mniejszymi czy większymi dziećmi, z tobołami, walizami, czekającymi na nadzieję wyzwolenia.

- Możecie wziąć z sobą jeszcze z pięciu innych ludzi, nie więcej... – dorzucił. – ale zwijajcie się, bo zaraz musimy wyruszać dalej.

Zabraliśmy z sobą ludzi, którzy byli przy nas, Polak spod Leningradu, Stankiewicz, ze swą żoną i córką, oraz młode małżeństwo, oboje nauczyciele. Liepner zaprowadził nas do przestrzennego wagonu towarowego i kazał nam się wgramolić do środka. Wagon ten był widocznie do przewożenia żołnierzy, bo w środku była kupka koców, mały piecyk węglowy i kubek do celów higienicznych. Liepner zaopatrzył nas jeszcze w worek węgla, worek ziemniaków i parę garnków z wodą.

Z pomocą mego Tatusia jako tłumacza poinstruował swych teraz podopiecznych:

- Będziemy jechać w dzień, a stać w nocy – powiedział – w czasie postoju musicie być bardzo cicho, tak jakby was w ogóle tu nie było; podczas postoju piecyk musi być całkowicie wygaszony. Rano, przed wyjazdem, będę przynosił wam jedzenie i wodę.

W ten sposób moja rodzina i ja w łonie mej Mamusi zostaliśmy po raz pierwszy uratowani od hitlerowskiego obozu zagłady, jeszcze wtedy nie wiedząc nawet co to znaczy.

Po trzech dobach jazdy dotarliśmy do Krakowa. Tam wszyscy inni, prócz nas, wysiedli, gorąco dziękując Liepnerowi, podczas gdy my pojechaliśmy dalej, za Kraków, do Miechowa, skąd było nam dużo bliżej do celu, **gdzie nasz Stryj Mieczysław pomagał w administracji miasta.**

Tam, Stryj Mieczysław wraz z żoną Zofią i dwojgiem dzieci (3-letnią Krysią i 1-letnim Jurkiem) mieszkali w jednej izbie. Aby móc nas wszystkich pomieścić, mężczyźni, mój Tatuś, Stryj Mieczysław i Stryj Henryk dostali pokój gospodarczy w Starostwie, a kobiety z dziećmi zostały w tym pokoju Mieczysława, gdzie wszyscy sześcioro (plus ja w łonie) musieliśmy się jakoś upakować. Aby otworzyć drzwi, ten kto leżał przy nich musiał się podnosić i robić miejsce.

I tak przemieszkaliśmy tydzień, dopóki mój Tatuś nie znalazł sobie pracy i nam mieszkania kilka kilometrów dalej, w Proszowicach u Jelonkiewiczów. Nie było to łatwe zważywszy skład naszej rodziny, zaawansowaną ciężą mojej Mamusi i brak pieniędzy, by chociaż tym skusić właściciela, chociaż w tych czasach wszystko to było zrozumiałe.

I tam właśnie już po trzech dniach od naszego przybycia zacząłem się dobijać na ten świat. Zaopiekowali się nami dwaj księża z parafii, proboszcz Stanisław Bomba, a później i ks. Kudelski (*znany ze swej świętobliwości; na pogrzeby chadzał boso, by okupić grzechy zmarłego i ułatwić mu drogę do nieba, przywożono doń chore dzieci z całej Polski, by je pobłogosławił; modlił się za nie, tak że niektóre z nich cudownie zdrowiały*).

Moją Mamusię już w bólach przed-porodowych, ksiądz proboszcz Bomba skierował niezwłocznie do pobliskiej „ochronki” prowadzonej przez siostry służebniczki (*w najwyższym sekrecie przechowywały one także żydowskie dzieci*). Tam przyszedłem na świat około 4-ej popołudniu, nogami na przód, przy asyście głuchej jak pień akuszerki i pod staranną i surową opieką siostry przełożonej Mieczysławy.

W trzy dni po moim urodzeniu, przyszedł nakaz od władz niemieckich, że wszyscy Polacy przybyli z Ukrainy mają stawić się w Miechowie na dworcu kolejowym, skąd zostaną przewiezieni na tereny specjalnie dla nich przeznaczone do zasiedlenia się. Urzędnik miasta wiedział, że ów „teren do przesiedlenia”, to obóz koncentracyjny w Auschwitz. Pozmieniał nasze dokumenty i swoje rejestry, tak by moi rodzice figurowali jako urodzeni w Warszawie, i zawiadomił nas, byśmy się na jakiś czas ukryli. Moja Mamusia ze mną i mój starszy brat została w tej samej ochronce, gdzie się urodziłem, pod baczny okiem siostry Mieczysławy. Mój Tatuś zaś z Babunią i Wujkiem Henrykiem zostali przewiezieni do Kątów, zapadłej wioski w górach, gdzie mieli mieszkać i pomagać w pracach przy domu u zamożnego i zacnego gospodarza, wskazanego przez księdza Bombę, jako człowieka godnego zaufania.

Przebywaliśmy w ukryciu przez sześć tygodni, dopóki urzędnik miasta nie zawiadomił nas, że się uspokoiło i że możemy już wrócić.

W ten sposób **po raz drugi zostaliśmy uratowani** od hitlerowskiego obozu i tam zagłady.

Moja Mamusia nie miała nic dla mnie, nowo narodzonego dziecka, żadnych pieluszek, żadnych ubranek, nic. Siostra Mieczysława udała się do pani aptekarzewej, pani Kołakowskiej, prominentnej postaci w Proszowicach, właścicielki jedynej w okolicy apteki. Pani Kołakowska miała właśnie jedno-letnie dziecko, Wojtka. Siostra

Mieczysława kazała pokazać sobie wszystko co było przygotowane dla tego maleństwa, Wojtka: pieluszki, koszulki, kaftaniki. I wtedy zaczęło się sortowanie, Siostra Mieczysława rozkładała to wszystko na dwie kupki i mówiła autorytatywnym tonem: „to dla Janka, to dla Wojtka ... to dla Janka to dla Wojtka...”  
I tak rozpoczęła się historia mego życia...

### ***Rok 1948+ - Rozdział 1 – Początek Podróży Duchowej - Spirytualnej***

Moja duchowa droga rozpoczęła się tuż po moim urodzeniu, kiedy wraz z mamą ukrywaliśmy się przed hitlerowcami w klasztorze służącym jako sierociniec ratujący dzieci od zagłady.

W wieku 4 lat z poważnym urazem nogi, leżałem kilka lat w klinice, pełny bólu fizycznego i emocjonalnego, w rozłące z rodziną. Wiara w Boga była wówczas moją jedyną nadzieją i pociechą. W rozległej sali, wraz z również kilkanaściorciem przykutych do łóżka dziećmi, prosiłem nas wszystkich o modlitwy do Jezusa o Jego błogosławieństwo.

Pewnego dnia do naszej sali weszła agresywna pielęgniarka-zakonnica, spojrzała na mnie i krzyknęła do mnie ostro: - Ty Duniewicz pokaż mi jaki krzyż robisz jako krzyż!!!... Przestraszyłem się jej i zrobiłem mały krzyżyk na piersi. Nazwała mnie wtedy „heretykiem”, „antychrystem”.

– Nigdy go nie słuchajcie!!! – skończyła ze złością i wyszła.

To spowodowało, że kilku złośliwych dzieci pobiło mnie w moim łóżku.

W następnych latach zbiegło się to z moimi literackimi badaniami, odkryciem i zdumieniem intelektu, cudowności mózgu i jego nieograniczonej sfery myśli. Pochłanianie literatury, studiowanie całej historii filozofii i namiętne dyskutowanie z moimi najwybitniejszymi kolegami doprowadziło mnie najpierw do zaprzeczenia religii, a w końcu do wyrzeczenia się jakiegokolwiek wiary. Zdecydowałem się wierzyć tylko w to, co ludzki umysł i zmysły mogą zaobserwować, udowodnić lub zatwierdzić, opierając się na tym, że umysł może zrozumieć wszystko we wszechświecie, o ile może wystarczająco skupić się na kwestionowaniu i zdolnościach badawczych. Widziałem też że religie często prowadziły do agresji, do walk... W ten sposób zostałem zagorzałym ateistą.

No cóż... wkrótce, zachwycony intelektem, zacząłem dostawać ciosy za ciosami upokorzenia... coraz większe rozczarowanie, nie tylko własnym umysłem, ale także umysłem innych, nawet tych najbardziej znanych. Brak odpowiedzi na moje fundamentalne pytanie, dlaczego intelekt nie potrafił rozwiązać wiecznych, oczywistych życiowych wstrząsów nawet w wysoce cywilizowanych społeczeństwach. Wielorakie i powtarzające się, indywidualne i masowe działania zła, wyzwalane przez charyzmatycznych „przywódców”, były i są nadal pokornie kierowane przez intelektualnie, błyskotliwe umysły edukacyjne w kierunku okrucieństw, ludobójstwa, w kierunku nierozwiązanego ubóstwa, a życie milionów ludzi i biliony dolarów są marnowane na ataki, na obronę struktur i ich działań wojennych, ku szalejącym chorobom fizycznym i psychicznym, samobójstwom i niechcianym zgonom... Często zamiast dawać długo wyczekiwane rozwiązania, intelekt komplikuje sprawy lub staje się posłusznym niewolnikiem emocji, lęków, uwarunkowań społecznych, charyzmatycznych lub generujących strach „przywódców”.

W 1981 roku w dużym mieście w Polsce, w którym mieszkałem... przypadkowo usłyszałem, że ktoś wygłasza wykład na uniwersytecie na temat nowego ruchu duchowego o nazwie „Subud”.

Pełen sceptycyzmu, a nawet ironii wobec spraw duchowych, od razu odrzuciłem ten szum jako kolejną modę religijną.

O dziwo jednak, bez intelektualnie rozumianego powodu, opuściłem me weekendowe biwakowanie naszej rodziny tylko po to, by znaleźć się na tym wykładzie. Spóźniając się, usiadłem na samym końcu widowni i słuchałem półgłosem, bardziej przepełniony sarkazmem i nieufnością niż ciekawością.

Słowa prelegenta nagle zwróciły moją uwagę: „Nie potrzebujesz żadnego guru między tobą a Bogiem...”, a potem: „...żadnych dogmatów, żadnych nauk, żadnych wierzeń, żadnych specjalnych wysiłków, żadnej liturgii, żadnych specjalnych treningów... tylko ty i Bóg... ”.

Następnie powiedział: „Tylko poddaj się i słuchaj Źródła wszystkiego, Stwórcy, Najwyższej Mądrości Wszechświata, jakkolwiek to nazwiesz... dla uproszczenia możesz to nazwać Bogiem (...) Ty doświadczaj Mocy Boga bezpośrednio od Boga”.

Uderzyły mnie te słowa.

Nagle zdałem sobie sprawę, że nie potrzebuję żadnego pośrednika między mną a Najwyższą Mocą Życia. Wystarczy, że połączę moją duszę z Jedynym... a nie z niczym innym pomiędzy. Zrozumiałem wtedy, że znalazłem swoją drogę!... Ten wykład, te słowa i jego dalszy ciąg zmieniły moje życie na zawsze.

--- . ---

Będąc zagorzałym przeciwnikiem panującego wówczas w Polsce reżimu komunistycznego, zostałem wpisany na „czarną listę” dysydentów politycznych bezpieczeństwa narodowego. Byłem stale nękany moralnie i zawodowo, stale groziło mi więzienie.

Poznawszy jednak esencję Subud – w zupełnie nieoczekiwany i niewyjaśniony sposób zacząłem czuć się „pod szczególną ochroną”, straciłem obawy przed reperkusjami i wszelkimi przedsięwzięciami do przodu w życiu. Podjęliśmy wraz z rodziną decyzję o ucieczce z „komunistycznej” Polski. Aby to zrobić, musieliśmy zostawić wszystko, co dostaliśmy materialnie, nasz prestiż zawodowy, nasze rodziny, nasze środowisko społeczne. Było to wówczas niebezpieczne przejście przez granice Polski i Czechosłowacji. Przeszukiwano nas wszędzie w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby świadczyć o tym, że wyjeżdżamy z kraju na dobre. Mało brakowało, a zostałbym zawrócony i uwięziony pod zarzutem szpiegostwa. Czując się jednak „pod szczególną ochroną”, agresywne przesłuchania w obu celnych przejściach przechodziłem bez strachu, z taką wewnętrzną siłą, że nagle wywołało to uległą reakcję przesłuchującego funkcjonariusza. Pozwolił nam iść dalej...

Jako uchodźcy polityczni z „komunistycznej” Polski przybyliśmy do Austrii. Zostaliśmy umieszczeni w ogromnym, ciasnym, brudnym obozie dla uchodźców z tysiącami innych uciekinierów z krajów wschodnich. Doświadczaliśmy tam wówczas obu skrajnych stron człowieczeństwa: jak należy być traktowanym jako "biedny niechciany cudzoziemiec", z upokarzającymi nadużyciami niektórych, a także jak być traktowanym z cudowną przyjaźnią i troską ze strony innych.

Wkrótce poszedłem za Subud, znalazłem wiedeńską grupę, gdzie natychmiast zostaliśmy ciepło przyjęci jak starzy przyjaciele, a podczas naszej drugiej wizyty otworzyliśmy się na ćwiczenie o nazwie latihan. Od tego czasu regularnie spotykaliśmy się i robiliśmy latihany, kiedy nauczyłem się czuć i nazywać „siostrami i braćmi”, tych którzy pochodzili z Austrii, Wietnamu, Francji, Wielkiej Brytanii, USA.

Jola i ja zaczęliśmy też poznawać wspaniałych (nie-subudowych) rodowitych Austriaków, z którymi do dziś utrzymujemy przyjaźń za oceanami.

Jako imigranci, Jola i ja z kilkoma innymi przyjaciółmi, stopniowo odbudowaliśmy naszą pozycję zawodową. W tym samym czasie prowadziliśmy działalność społeczną, założyliśmy szkołę dla dzieci uchodźców, zapewniliśmy poradnictwo, tłumaczenia i seminaria językowe setkom migrantów, którzy nie znali żadnego innego języka niż własny.

Aby utrzymać się w praktyce naszych zawodów, oferowaliśmy tam nasze usługi na wysokim poziomie za śmiesznie niskie opłaty. Ludzie chętnie korzystali z naszego statusu uchodźcy.

Tylko po to, aby dostać się do firmy mojego powołania, przepracowałem 3 miesiące w austriackiej firmie całkowicie za darmo, aby dostać tam pracę zgodną z moim doświadczeniem zawodowym i zainteresowaniami. Po tych 3 miesiącach właściciel firmy zdał sobie sprawę, że nie może mnie stracić, zaczął mi wypłacać połowę pensji austriackiego fachowca, który pracowałby na tym samym stanowisku.

A więc tak to się zaczęło...

W jednej z mych w Wiedniu przechadzek i zasiadaniu w spokoju ducha na ławce, podszedł do mnie bardzo smętny, ponury człowiek, Czech, Waclaw: pachnie alkoholem, źle mówi po niemiecku, przechodzi na czesko-polski...

Opowiada o tym, jak we własnym kraju, Czechosłowacji, pisał z pasją i talentem, jak w ogóle zaczynał karierę pisarską... Aż stanął przed dylematem: pisać pokornie wobec komunistycznej cenzury i publikować, czy... publikować brutalnej prawdy i dostać się pod młot reżimu. Wybrał to drugie i został wyrzucony z kraju. W Austrii, po pierwszej efemerycznej chwale antykomunistycznego dysydenta w wiedeńskich środowiskach artystycznych, znalazł się na lodzie. I co?... Pisać po czesku? dla kogo? Pisać po niemiecku, o czym, dla kogo? Czuł się całkowicie zagubiony...

Słucham go uważnie w ciszy...

- Myślę, Waclawie, że masz wielkie szczęście, że to wszystko ci się przytrafia... - Zaczynam.

Powoli podnosi głowę i patrzy na mnie ze zdumieniem. Nie wygląda już na pijanego, ma trzeźwe, bystre spojrzenie. Mówię dalej:

- Z tego, co widzę w tobie, z tego, co słyszę od ciebie, to doświadczenie było i jest dla ciebie nieodzowne. Byłeś próżny i słaby jak dziecko. No spójrz na siebie... kiedy zrobiło ci się trochę ciężiej w życiu... Nie... jeszcze nie ciężiej tylko tylko inaczej...i już upadasz, użalasz się nad sobą, upiłeś się... powiedzmy, że straciłeś swoje „ja”... Zastanawiam się, czy kiedykolwiek w ogóle miałeś swoje „ja”?!...

- Co masz na myśli, mówiąc „czy kiedykolwiek miałem swoje ja”? – oburza się Waclaw.

Tutaj znów przechodzi do swojej historii o przełamywaniu reżimu, dokonywaniu trudnych wyborów między kuleniem się i mówieniem tego, co myśli, a ostatecznie porzuceniem swojego kraju, swojego języka, swojej kariery.

- Moje „ja” było codziennie poddawane torturom fałszu i hipokryzji – kontynuuje – moje imię było wyśmiewane i popychane, groziło mi więzienie, ale... przynajmniej czułem, że moje życie ma jakieś znaczenie, że mam misję. I co teraz!? ...

Czekam spokojnie, aż skończy, a potem mówię, co czuję.

- Tak, zgoda... Kłaniam się, że podjąłeś uczciwe decyzje, nie uległeś naciskom okrutnego reżimu. To jest twoja wielka wartość. Teraz to tylko dlatego, że zdałeś taki egzamin, teraz dostałeś awans, masz większe wyzwanie, tu na wygnaniu.

Tam tak długo cię naciskano i nie poddałeś się, a tu jesteś wolny, możesz iść dalej, jak chcesz...

Tam reagowałeś na to, co stworzyli inni, a tutaj musisz tworzyć sam. Co za zmiana! ... No, trzeba!... Żebyś mógł na siebie spojrzeć. Możesz zobaczyć siebie w zwierciadle wolności, możesz tutaj ocenić, na ile było z Ciebie prawdziwego bohatera, a na ile tylko aktorem, na ile naprawdę byłeś sobą, a na ile tylko grałeś.

- Co masz na myśli mówiąc, że grałem!? ... - przerywa mi urażony Waclaw. - Grałem!? ... Myślisz, że ryzykowałem, stawiałem opór, walczyłem, robiłem wszystko i wszystko straciłem, żeby grać, żeby się popisywać?

- Tak, Vaclav, myślę, że tak. - Mocno potwierdzam - Jesteś pisarzem. Więc nie wierzę, że nie jesteś świadomy tego, co się w tobie dzieje... a jeśli nie jesteś tego świadomy, to nie jesteś pisarzem. Straciłeś widownię i upadłeś... Patrz, co ci jest, płaczesz nad sobą, dusisz się, bo nikt cię nie obserwuje, nikt cię nie prześladuje i nikt cię nie podziwia. Co teraz? ... Zalewasz swojego wewnętrznego robaka... W takim razie, gdzie jest ten pisarz? ... Gdzie jest bohater? .. Gdzie jest to „ja”?

Waclaw siedzi ze spuszczoną głową, w milczeniu. Ja też...

- Więc co mam ze sobą zrobić? – pyta bezgłośnie.

- Najpierw musisz się opamiętać. - Śmieję się.

- Jestem już trzeźwy. – odpowiada smutno.

- Więc idź teraz do domu, weź prysznic, zrelaksuj się i przemyśl to wszystko. To nie twoje „ja” zostało rozbite, tylko skorupa wokół twojego „ja” pękła. No i cóż... twoje „ja” wciąż jest w tobie – pukam go palcem w pierś – twoje „ja” czeka na ciebie, dbaj o niego, niech rośnie w tobie. Teraz jest wiosna, jesteś w wolnym kraju, pozbadź się wszystkich muszli i zadbaj o to, co wartościowe, o to, co naprawdę jest w tobie.

Siedzimy chwilę obok siebie w milczeniu, Wstajemy z ławki. Towarzyszę mu na pobliską stację metra.

Wygląda teraz lepiej, trzeźwo, uśmiecha się.

- Zanim wyruszymy... – mówi Waclaw ściskając moją dłoń na pożegnanie – Zdradzę Ci mój sekret. Nigdy nie piłem, żeby się upić; najwyżej trochę wina podczas spotkań towarzyskich. Kiedy się tu znalazłem, przez ostatnie miesiące byłem w ciągłej depresji, byłem zdesperowany, nie mogłem tego znieść i postanowiłem z tym

skończyć, postanowiłem się zabić, przygotowałem na to wszystko w swoim mieszkaniu... ale nie miałem tam odwagi...Dlatego zdecydowałem się wtedy upić do otępienia, żeby to zrobić. Właśnie wracałem do mieszkania, żeby to zrobić, zdeterminowany, nie dbając już o nic... (...) Zawdzięczam ci życie... dziękuję...

Schodząc do metra, Vaclav zawrócił, pomachał mi ręką i zniknął...

\*\*\* \*\*